

Karol Pędowski

Egzamin adwokacki w okresie okupacji niemieckiej

Palestra 37/5-6(425-426), 70-77

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Karol Pędowski

Egzamin adwokacki w okresie okupacji niemieckiej

Komisaryczna Rada Adwokacka uzyskała zgodę Niemców na przeprowadzenie egzaminu adwokackiego dla aplikantów, którzy już odbyli właściwy staż.

Postanowiłem przystąpić do tego egzaminu. Wziąłem więc urlop w pracy konspiracyjnej. W tym czasie pełniłem funkcję redaktora w konspiracyjnej agencji „Wies”, której zadaniem było dostarczanie wiadomości o wsi dla potrzeb pracy konspiracyjnej (patrz – Szczawiej Jan: *Ciosy*).

W maju odłożyłem wszystkie prace i całkowicie pogrzyżłem się w nauce. Był to okres tłumienia, wybuchłego w kwietniu 1943 roku, powstania w getcie warszawskim. Nad północną stroną miasta unosiły się czarne słupy dymu. Nieustanne wybuchy i terkot karabinów maszynowych przypominały o zagładzie ludności żydowskiej.

Czys płynął. Wyznaczony został termin egzaminu pisemnego. Egzamin ten nie dostarczył mi wielu wrażeń. Jedy- nym zapamiętanym przeze mnie szczegółem był fakt, że jako temat pisemny z prawa karnego otrzymałem do opracowania tak zwaną małą kasację. Tym- czasem mała kasacja została zniesiona przez nowelę zmieniającą przepisy, do- konaną chyba w 1938 roku. Egzamina- torzy posłużyli się tematami z przed- wojennych egzaminów adwokackich.

Nie sprawdzili, że niektóre z nich straci- ły już swoją aktualność. W rozwiązaniu dylematu, przed jakim stanąłem, do- pomógł mi wtedy adwokat Janusz Ol- chowicz, który nadzorował pisemne prace. Odnalazł bowiem egzemplarz datujący się na okres sprzed dokonanej zmiany.

Pracę z małej kasacji napisałem, wstawiając datę poprzedzającą noweli- zację i zamieściłem uwagę, że w chwili, kiedy pracę piszę, mała kasacja już nie obowiązuje.

Egzamin ustny wyznaczony został na dzień 13 maja 1943 roku.

Obłożony książkami, podręcznika- mi, kodeksami, orzecznictwem – uczy- łem się. Cała otaczająca rzeczywistość oddaliła się ode mnie. Przestałem nawet w owych majowych dniach czytać gazety i pisma konspiracyjne. Zanurzyłem się w hermetyczny świat norm praw- nych, dogmatycznych rozumowań, wy- tycznych orzecznictwa. Powróciłem jakby do głębokiej młodości, do czasów uniwersyteckich. Wyłączyłem się nie tylko z życia, ale również odizolowałem od wojennych wrażeń.

Zrywałem się rano o godzinie szóstej, kładłem dopiero o godzinie dwunastej w nocy. Nawet żaluzje z czarnego pa- pieru, zasłaniające okna, zwijane były dopiero o godzinie dziewiątej rano. Światło dzienne, wiosenna zieloność

krzaków bzu za oknami odciągały moją uwagę od norm prawnych, komentarzy i prawniczego rozumowania.

Czasami przychodzili do mnie koledzy, aplikanci adwokaccy, którzy także przygotowywali się do wiosennego egzaminu. Przepytывaliśmy się wzajemnie, wspólnie rozstrząsając wątpliwości. Materiał, który przygotowywaliśmy do egzaminu, był olbrzymi. Prawo cywilne i karne, materialne i procesowe, prawo handlowe, prawo administracyjne, prawo pracy i wreszcie prawo Generalnej Guberni. Uczenie się tego ostatniego przedmiotu było drażniące i upokarzające. Odpowiadanie na idiotyczne pytania, które – jak przypuszczaliśmy – prawdopodobnie będzie zadawał przedstawiciel *Abteilung Justiz* – już teraz budziło sprzeciw.

Wiosna tego roku była wczesna, pogoda przepiękna, krzaki bzu, którymi był wysadzany wewnętrzny skwer spółdzielni mieszkaniowej, której byłem członkiem, pokrywały się właśnie rozwijającymi pąkami. Intensywna niebieskość nieba i sunące po nim pierzaste obłoki – zachęcały do spaceru, a odstręczały od nauki. Tylko ciągle dające się słyszeć odgłosy odległych detonacji, słupy wznoszącego się do nieba dymu, przypominały o wojnie, okupacyjnej rzeczywistości, o losie ginących tam gdzieś w getcie ludzi.

I tak płynął dzień za dniem. Na biurku piętrzył się stos opracowań, kodeksów, komentarzy. Wszystko popodkreślane kolorowymi ołówkami, dla wydobycia tego, co najważniejsze, dla lepszego zapamiętania tekstów.

O godzinie szóstej rano dźwięk dzwonka budzika wyrwał mnie z głębokiego snu. Biegłem do łazienki i bra-

łem lodowaty prysznic. Zimna woda znakomicie splukiwała zmęczenie i senność. Golenie, ubieranie się, powierzchowne sprzątnięcie pokoju nie zabierały więcej niż dwadzieścia minut.

Nadeszły ostatnie dni nauki – błyskawicznych powtórek. W przeciągu kilku godzin przerzuciłem cały olbrzymi materiał, trzykrotnie już przedtem przerobiony. Teraz, od piątej do północy, trwała nauka z krótkimi przerwami na posiłki. Do egzaminu były jeszcze trzy dni, potem dwa.

Wieczorem, w przeddzień egzaminu ustnego, gdzieś koło godziny dziewiątej lub dziesiątej, w całym mieście zaczęły dzwonić syreny alarmowe obrony przeciwlotniczej. Ich jęklive głosy dochodziły do mieszkania przy ulicy Fałata ze wszystkich stron. Wyły syreny na Polu Mokotowskim, rozbrzmiewały syreny fabryk ulokowanych na Mokotowie. Okna były już przesłonięte czarnym papierem. Elektryczność zgasła.

Zapaliłem świecę i idąc z nią przez mieszkanie słyszałem, że po schodach ludzie wolno schodzą do schronu.

Głosy syren alarmowych urwały się nagle i wtedy wprawne ucho, doskonale jeszcze pamiętające okres wrześniowych walk, wydobyło z dalekich dźwięków prawie już uciszonego miasta, ów charakterystyczny dźwięk, ni to brzęczenie, ni to warkot, ni to pogłos artyleryjskiej kanonady – ów szczególny dźwięk zwiastujący nadciąganie ciężkich samolotów bombowych.

Warkot narastał, zbliżał się, rozszerzał, samoloty nadlatywały i zdawały się być zupełnie blisko. Miałem uczucie, że są nad naszymi domami. A potem ten drugi, tak samo doskonale znany dźwięk – gwizd lecących bomb.

I wstrząsy – jeden, drugi, trzeci..., takie same jak te we wrześniu, jak te dochodzące od strony getta, tylko bliższe, zagrażające bezpośrednio, zwrócone przeciwko domom i ludziom mieszkającym tutaj. Dźwięk zbliżającego się niebezpieczeństwa. Nowa seria. Jeden, drugi, trzeci, czwarty gwizd. I znowu te wstrząsy, trzęsące się mury, dzwoniące w oknach szyby, spadające ze stołów przedmioty.

Usiadłem w korytarzu na przyniesionej z pokoju poduszce, przy postawionej w lichtarzu świecy. Obok siebie ułożyłem podręczniki prawa cywilnego i podjąłem ostatnią powtórkę materiałów wielokrotnie już przerobionych.

Tymczasem do mojego mieszkania zaczęli się schodzić lokatorzy z górnych pięter. Co chwila dźwięczał dzwonek i pojawiały się starsze zdenerwowane kobiety. Przyjmowała je moja matka. Wszyscy rozlokowywali się na krzesłach w przedpokoju, gdyż otaczały go drzwi i można tam było palić świecę.

Ponownie dał się słyszeć dźwięk lecących bomb i poculiśmy wstrząsy. Nastąpiła chwila ciszy i znowu gwizdy, i znowu wybuchy – zupełnie blisko. Samoloty wreszcie się oddaliły, nie było już słyhać gwizdu bomb, a wstrząsy stały się odległe i słabsze. Teraz, przez parę minut, zdawało się, że nalot się skończył. Zapanowała cisza. Tylko przez wybitą szybę w pokoju mojej matki wpadł powiew wiatru i poruszał czarnymi, papierowymi zasłonami i firankami. Po chwili jednak ucho wydobyło z ciszy nocnej dźwięk nadlatujących znowu samolotów – odległy, głuchy, narastający, potężniejszy z sekundy na sekundę. A potem znowu rozpoczęła się nalot. Słyhać było gwizdy, huk

wybuchów, dom drżał od potężnych detonacji. Ze wszystkich stron ostrzeliwała się niemiecka artyleria przeciwlotnicza.

Poszedłem na chwilę do mojego pokoju, zamknąłem za sobą starannie drzwi, uchyliłem papierową zasłonę i stwierdziłem, że na dworze było zupełnie widno. W powietrzu unosiło się coś przypominającego płonącą gwiazdę, czy zawieszoną w powietrzu jasno świecącą lampę. Ten wiszący płomień oświetlał wszystkie domy.

Znowu dał się słyszeć gwizd bomb, huk wybuchów. Strzały artylerii przeciwlotniczej dochodziły ze wszystkich stron. Odnosiło się wrażenie, że działa są ustawione koło naszych domów. Potem powoli wszystko zaczęło przemieszczać się dalej, w inną stronę miasta. Po godzinie umilkł pomruk lecących samolotów. Ucichła artyleria przeciwlotnicza. Około godziny jedenastej wieczorem alarm został odwołany. Założyłem tekturę w miejsce wybitej szyby w oknie pokoju mojej matki i powróciłem do nauki.

Następnego dnia o godzinie dziewiątej rozpoczynał się egzamin adwokacki. Wstałem wcześniej. Wyszedłem z domu przed godziną ósmą rano. Tramwaje nie chodziły. Poszedłem piechotą, a odległość była znaczna. Trasa, którą przebywałem – od ulicy Fałata, przecznicy ulicy Rakowieckiej, do siedziby Rady Adwokackiej w Alejach Jerozolimskich – miała około czterech kilometrów.

Warszawa w czasie nalotu ucierpiała. Na ulicy Marszałkowskiej stał rozczepiony bombą lotniczą dom mieszkalny. Im bardziej zbliżałem się do Alei Jerozolimskich, pod którymi mieściła się linia średnicowa – tym zniszczenia były

większe. Na ścianie jakiegoś rozwalonego mieszkania widać było piękne jelenie rogi, o piętro niżej spokojnie ozdabiały ścianę powieszona na niej ręcznie malowane talerze. Jakies krzesło, zaczepione o skraj nie wiadomo jak ocalałej podłogi, wisiało nad otwartą przez bombę wyrwą.

Już po godzinie dziewiątej wszedłem do lokalu Rady Adwokackiej. W dużym pokoju, który odgrywał w tej chwili rolę poczekalni, zgromadzona była liczna grupa aplikantów. Znałem ich prawie wszystkich. Panowało powszechne podniecenie i zdenerwowanie. Pierwsza piątka weszła już na egzamin. Podszedłem do okna wychodzącego na Aleje Jerozolimskie. Gdzieś daleko, w przerwie ulicy Brackiej, w północnej stronie miasta, unosiły się wysokie słupy dymu. Okno było otwarte i czasami poprzez gwar ulicznego ruchu dochodziły jeszcze odgłosy odległych detonacji.

– Czy to jest możliwe – myślałem – że zdaję egzamin adwokacki wtedy, gdy tam giną ludzie.

Po pokoju, zamienionym na poczekalnię, spacerowało kilku aplikantów. Biło od nich zdenerwowanie udzielające się otoczeniu. Dzień był piękny, pogodny, jakby wcale nie było nalotów, jakby od strony getta nie pięły się do góry słupy dymów.

Drzwi od sali egzaminacyjnej nagle się otworzyły i po kolei wyszło z niej pięciu aplikantów. Byli ogromnie wzburzeni. Momentalnie otoczyła ich gromada ludzi.

– No jak poszło? Czy trudno pytają? – padały pytania.

– Bardzo, bardzo trudno.

– Wyszło niedobrze. To bardzo tru-

dny egzamin. To nawet nieładnie z ich strony. Przecież to jest wojna. Oni powinni przyjść z pomocą.

– Ale jakie były pytania? Jakie pytania? – dopytywali się aplikanci.

Przeegzaminowani nie chcieli odpowiadać. Spacerowali pod drzwiami sali egzaminacyjnej. Byli bardzo wzburzeni. W oczach ich i postawach można było wyczytać klęskę. Potem drzwi się otworzyły i poproszono ich do sali egzaminacyjnej. Weszli, a my wszyscy patrzyliśmy na te drzwi, które się za nimi zamknęły. Uplłynęła jedna minuta, potem druga, wreszcie drzwi znowu się otworzyły – wyszli, głowy mieli spuszczone. Nie odpowiadali na pytania. Wreszcie jedna z przeegzaminowanych aplikantek odwróciła się do otaczających kolegów i powiedziała.

– Ścięli nas. Wszystkich. Nikt z nas nie zdał.

Jakiś adwokat stał w otwartych drzwiach i mówił:

– Następnii koledzy, proszę na egzamin.

Zdecydowałem się, i szybkim krokiem wszedłem na salę. Razem ze mną weszło jeszcze czterech kolegów. W tym gronie była jedna kobieta i czterech mężczyzn. Wzdłuż dużej, podłużnej sali ustawiony był długi stół, obity zielonym sukniem lub też bibułą. Siedziało przy nim kilkunastu egzaminatorów. Komisji egzaminacyjnej przewodniczył adwokat Gruber – komisaryczny dziekan. Pięciu aplikantów usiadło obok siebie na wskazanych miejscach. Znałem prawie wszystkich egzaminatorów. Przypominam sobie zwłaszcza adwokatów Szczepańskiego, Rembertowicza, Jarosza, Chmurskiego. Przy stole siedział także adwokat Szulborski

w charakterze mojego patrona, zastępując, przebywającego w Oświęcimiu adwokata Wacława Szumańskiego. Spośród egzaminujących nie znałem jednego – młodego jeszcze mężczyzny w wieku około 35–36 lat.

– Kto to jest? – zapytałem półgłosem mojego sąsiada.

– To przecież Wendorf.

Był to więc władca adwokatury w okresie niemieckiej okupacji – warszawski adwokat, *Parteigenosse*, którego władze hitlerowskie uczyniły komisarzem warszawskiej adwokatury.

Adwokat Edward Wilhelm von Wendorf – wysoki, dość szczupły mężczyzna, płowowłosa, mówiący doskonale polszczyzną, tak doskonale, że nie różniła się od polszczyzny wszystkich warszawskich adwokatów – siedział teraz w gronie nestorów polskiej palestry pewny siebie, uśmiechnięty, bawiąc się niedbale leżącym przed nim na stole wiecznym piórem. Jego postać dominowała nad salą egzaminacyjną.

Okno było uchylone i od czasu do czasu nawet tutaj, do tej sali, dochodziły odgłosy dalekich eksplozji. Egzaminatorzy zaczęli zadawać pytania. Dotyczyły prawa cywilnego, procedury cywilnej, prawa karnego i procedury karnej. Wszyscy odpowiadali obszernie i gładko. Siedziałem na drugim miejscu i odpowiadałem w teście kolejności. Syły się pytania. Wydawały się łatwe, nieskomplikowane. Gdy jeden z egzaminatorów kończył, natychmiast rozpoczął egzaminować nas następny. Zdawaliśmy po kolei wszystkie egzaminy. Po prawie cywilnym i karnym, materialnym i procesowym, odpowiadałem z prawa handlowego, prawa pracy, prawa administracyjnego. Gdy już

wszyscy znani mi egzaminatorzy zakończyli pytania, poczułem na sobie uważne spojrzenie niemieckiego komisarza do spraw adwokatury – Edwarda von Wendorfa. Wiedziałem, że otworzył kancelarię adwokacką na parę lat przed wojną. Wiedziałem, że niektórzy koledzy go znali, że stawali w procesach przeciwko niemu. Opowiadano także, że przed wojną był radcą prawnym niemieckiej ambasady w Warszawie. Ja dotąd nigdy się z nim nie spotkałem.

Niemiec uśmiechnął się pogodnie i zapytał?

– Co to jest mieszaniec w świetle prawa Generalnego Gubernatorstwa?

A tam, o półtora, może dwa kilometry od sali egzaminacyjnej dopalały się mury getta i walczyły w nich jeszcze ostatnie grupki żydowskich powstańców. Czy był jednak jakkolwiek sens powiedzenia paru słów prawdy temu Niemcowi, dla samego gestu. Czy warto było zginąć dla błahej, w kontakcie z kimś takim, satysfakcji.

– Jest to osobnik – powiedziałem – który pochodzi z mieszanego małżeństwa.

– Jakiego małżeństwa?

– Żyda z Aryjczykiem.

– W czyim imieniu wydają wyroki polskie sądy w Generalnym Gubernatorstwie?

– W imieniu prawa.

Jeszcze kilka pytań do moich kolegów.

– Dziękujemy – usłyszałem głos dziekana Grubera.

Wszyscy wstaliśmy i wolno wychodziliśmy z sali egzaminacyjnej. Kiedy mijalem adwokata Szulborskiego, pochylił się ku mnie i powiedział:

– *Cum laude*, kolego, wszyscy *cum laude*.

Po paru minutach wezwani zostaliśmy z powrotem na salę. Odczytano nam wyniki złożonego egzaminu. Zdałszy wszyscy. Czterej, w tym ja sam, z wynikiem bardzo dobrym, jeden z wynikiem dobrym. Tak więc po ośmiu pół latach aplikacji zostałem wreszcie pełnoprawnym adwokatem.

W parę miesięcy po egzaminie adwokackim zostałem zawiadomiony, że dopuszczono mnie do konspiracyjnego ślubowania adwokackiego. W zasadzie ślubować mieli wszyscy ci aplikanci, którzy złożyli konspiracyjny egzamin adwokacki. Dopuszczono jednak paru aplikantów, którzy złożyli egzamin oficjalny.

Ślubowanie miało się odbyć w godzinach przedpołudniowych w gmachu Sądu Apelacyjnego przed prezesem tegoż sądu, Kazimierzem Rudnickim, i konspiracyjnymi władzami adwokatury.

Wszyscy młodzi adwokaci mieli wystąpić w tym dniu w togach i biretach. Biret był symbolem niezależności adwokatury.

Z tymi biretami mieliśmy bardzo dużo kłopotu, po prostu nie mogliśmy ich zdobyć. Mało który z adwokatów taki biret posiadał. Miał on znaczenie tylko symboliczne. Używany był bardzo rzadko, w wyjątkowych okolicznościach. Adwokat wkładał biret wtedy, kiedy składał zasadnicze oświadczenie w obronie godności zawodu. Wkładał go, składając ślubowanie i wtedy, kiedy uroczyście protestował.

Po długich poszukiwaniach znalazłem wreszcie starszego kolegę, który biret posiadał i pożyczył mi go na ten uroczysty dzień. Toż miałem własną, uszytą ze starej sukni mojej babki.

Krawcowa otrzymawszy toż wzorcową znakomicie wywiązała się z powierzonego jej zadania.

Oznaczonego dnia, zapakowawszy toż i biret do teczki, pojechałem do Sądu Apelacyjnego na plac Krasińskich. Wnętrze sądu wyglądało zupełnie przedwojennie. Szerokie marmurowe schody wyłożono dywanem, kamienna balustrada po obydwóch ich stronach prowadziła na pierwsze piętro. Panował tutaj ożywiony ruch. Ludzie wchodzili na górę i schodzili w dół. Adwokaci w rozpiętych przeważnie togach witali się w przelocie z kolegami, rozmawiali ze swoimi klientami. Przed salami sądowymi stały małe gromadki ludzi podnieconych i zaferowanych, tak jak zawsze przed salami sądowymi.

Sędziowie przeważnie starsi, siwi, powściągliwi, z pełną grzeczności rezerwą odpowiadali na ukłony. Tutaj królowało Polskie Prawo i polski panował obyczaj. W gmachach sądów polskich słychać było tylko polski język.

Woźni uprzejmie, z odcieniem życzliwej poufałości witali adwokatów. Od czasu do czasu otwierały się drzwi sal sądowych i wychodzili z nich zaferowani ludzie, czasem uśmiechnięci radośnie, czasami z opuszczonymi głowami, smutni i zamyśleni, czasem rozgniewani i gestykujący, czasem w skupionym milczeniu wysłuchujący wyjaśnień swoich pełnomocników.

Kłaniając się starszym kolegom, wstępowałem po schodach na górę. Skręciłem na prawo w kierunku gabinetu prezesa. Korytarz przedzielany drzwiami, w tym dniu zamknięte. Nacisnąłem klamkę i zaraz zobaczyłem gromadę znajomych mi kolegów. To byli

właśnie ci, którzy razem ze mną mieli składać konspiracyjne ślubowanie. Grupa kolegów powiększała się z wolna. Powoli nadchodzili i starsi adwokaci. Przyszedł starszy, siwy, z pięknym białym wąsem – adwokat Bolesław Bielawski. Dopiero później dowiedziałem się, że był prezesem Naczelnej Rady Adwokackiej w konspiracji. Następnie nadszedł wysoki, utykający na nogę, także siwy, ale nieco młodszy adwokat Feliks Zadrowski. Wreszcie dawny aplikant wielkiego obrońcy Szurleja, młody jeszcze adwokat Witold Bayer. Ktoś poinstruował nas, w jaki sposób mamy się zachować, gdyby zjawiał się jakiś niepożądany gość. Nadchodzi moment ślubowania. Wszyscy nakładamy togi, czekamy. Wreszcie otworzono drzwi i poproszono nas do gabinetu Prezesa Sądu Apelacyjnego. Weszliśmy. W głębi stało biurko. Na podłodze leżał dywan. Za biurkiem siedzieli prezes – Kazimierz Rudnicki, prokurator Sądu Apelacyjnego – Stefan Szydłowski, adwokaci Zadrowski, Bielawski i inni. Prezes Rudnicki powstał i wolno odczytał słowa ślubowania.

Staliśmy wszyscy i z największą powagą, żarliwie, powtarzaliśmy słowa adwokackiego ślubowania. I te słowa, które w normalnych czasach powtarzalibyśmy bez większego wrażenia, które byłyby dopełnieniem zwykłej tylko formalności, teraz i tutaj nabrały wyjątkowego sensu i znaczenia, przeniknęły nas. Ślubowaliśmy wielkim prawdom ludzkości – sprawiedliwości, prawdzie, polskości.

A potem powstał adwokat Feliks Zadrowski, w todzie i birecie, i w imieniu władz konspiracyjnych adwokatury mówił:

– „Treść ślubowania, którą złożyliście przed chwilą, zaczyna się od wyrazów: pomny dobra Państwa Polskiego, potem dopiero zawiera słowa: oraz stanu adwokackiego, tudzież szczegółowe wyliczenie obowiązków adwokata... Zatem pamiętać musicie, zwłaszcza w okresie śmiertelnej walki z nieprzejednanym wrogiem, iż jesteście przede wszystkim Polakami, a dopiero potem adwokatami. Jeżeli więc ślubowaliście spełniać zgodnie z prawem i słusnością obowiązki adwokata, to pamiętać musicie, że prawem, które was wiąże, jest Prawo Polskie, słusność jest po tej stronie, która polskiego interesu przestrzega”.

Adwokat Zadrowski zakończył przemówienie słowami: – „Wy, którzy mimo szalejącej burzy nie zaniedbaliście obowiązku pracy nad sobą, i którzy ponadto daliście dowody, że rozumiecie swoje obowiązki Polaka, dajecie gwarancję, że z okresu próby przez którą nadal przechodzić będziecie, wyjdziecie jeszcze mocniejsi, zahartowani, gotowi do zadań, które was po przelomie czekają”.

W imieniu ślubujących odpowiadał jeden z młodych adwokatów. Wszyscy, którzy złożyli w tym dniu ślubowanie, stali półkolem naprzeciwko biurka prezesa Sądu Apelacyjnego – Kazimierza Rudnickiego. W większości byli to ludzie młodzi, zupełnie młodzi.

A tam, z placu Krasieńskich, przez uchylone okno dochodził odgłos kroków przechodzącego oddziału wojska – okupacyjne tło wszystkich ówczesnych polskich wydarzeń.

Uroczystość została zakończona. Powstali zza biurka starsi adwokaci, półkole młodych załamało się, wszyscy

ię mieszała. Starsi adwokaci ściskali łonie młodszych kolegów – byliśmy wzruszeni. W tych strasznych czasach zadko zdarzały się podobne uroczystości. Wszyscy, i ci starsi zasłużeni, i ci młodszy rozpoczynający zawodowe życie, tak samo spragnieni byli spokoju, prawa, sprawiedliwości, wolności. Wszyscy jednakowo nienawidzili okupanta, powtarzających się każdego dnia niemieckich zbrodni, okrucieństw, apanek, wywózek, obozów koncentracyjnych, w których ginęli najlepsi polscy synowie.

Jeszcze kilka chwil rozmowy, a potem wszyscy zaczęli się rozchodzić. Po jednym, po dwóch opuszczali gabinet prezesa. Tak aby nie zwrócić niczyjej uwagi. I ja zdjąłem tokę, schowałem ją w bilet do teczki. Wyszedłem na korytarz. Przy drzwiach, prowadzących do

sądowego holu, stał jeden z młodych adwokatów i pilnował, abyśmy wychodzili po kilku, małymi grupkami.

Opuściłem gmach Sądu Apelacyjnego, kierując się w stronę ulicy Miodowej. Zbliżywszy się do ulicy Długiej, zatrzymałem się. Jeszcze przez chwilę patrzyłem z daleka na piękno pałaców, w których mieściły się: Sąd Apelacyjny i niegdyś Sąd Najwyższy.

Z dniem ślubowania zakończył się okres przygotowania zawodowego, nie tylko faktycznie, ale i formalnie. Rozpoczęło się zawodowe życie adwokata.

Na placu Krasińskich stał wtedy pomnik pułkownika Kilińskiego. Pułkownik, z wyciągniętą szablą, zdawał się być przeniknięty tymi samymi uczuciami, które przepełniały owego dnia nas – młodych adwokatów.